

MÓJ ŚWIAT

Zbigniew Hołdys Mały wielki człowiek



Zapytałem go, czy widział swoją teczkę w IPN. „Nie” – odpowiedział. Siedzieliśmy na metalowych krzesłach ustawionych pośrodku chodnika na placu Konstytucji, naprzeciwko dawnej kawiarni Niespodzianka. Mijali nas przechodnie, nieco zdziwieni. „Adam mi powiedział, że jeśli nie muszę, to lepiej, żebym tam nie szedł. Że tam są takie obrzydliwości, po których potem nie daje się normalnie żyć. I doszedłem do wniosku, że nie jest mi to do niczego potrzebne”. Uspokoił mnie. Dokładnie to samo powiedziałem swojej rodzinie. Jeden z moich przyjaciół poszedł i znalazł straszne rzeczy o naszym wspólnym kumplu, bliskim mi człowieku, i do dziś mi to dzwoni w głowie.

Poznałem go w 1976 r. A właściwie dowiedziałem się o jego istnieniu. Byłem w USA, raz w miesiącu kupowałem książeczki paryskiej „Kultury”. Tam w dziale „Kronika” mogłem przeczytać, kogo w PRL pobito, zatrzymano, wyrzucono z pracy, skazano. Co robiono z robotnikami z Ursusa i Radomia. W każdym numerze padały nazwiska: Kuroń, Michnik, ksiądz Jan Zieja, prof. Lipiński, Jan Lityński. Ich odwaga była imponująca. Byli bici, zatrzymywani, wychodzili i znowu drukowali ulotki, jeździli na procesy bronić innych. Kiedy po latach Jurek Wertenstein-Żuławski powiedział: „Jan Lityński chce się z tobą spotkać”, serce mi забиło mocniej. Ten Lityński? Ten, o którym tyle czytałem? Którego łapano, gnojono, skazywano, ścigano, a on miał obcykane przechodnie klatki schodowe w kamienicach warszawskich, wpadał do takiej i wybiegał na drugą stronę, zanim esbecy się zorientowali – i znikał w tłumie?

Wyszedł mnie przywitać przed kościołem na Karolkowej. Podszedł niewysoki człowieczek, szczupły, uśmiechnięty. Metr sześćdziesiąt optymizmu, zero Supermana i jeszcze mniej męczennika. Po chwili byliśmy na „ty” i weszliśmy do środka. Usiedliśmy na krzesłach w wielkiej sali. Szeptem mówił mi o wyborach, co planują, zebrany w kościele tłum miał debatować o kandydatach. Podszedł rozemocjonowany człowiek i powiedział: „Janek, musisz mnie wciągnąć na listę! Muszę kandydować! Ja muszę być w tym Sejmie! Inaczej skoczę z mostu!”. „Zobaczmy, daj ludziom się wypowiedzieć” – odpowiedział, a gdy człowiek odszedł, dodał: „Porządny gość, ale świr”.

Sam kandydować nie zamierzał. Uważał, że inni są ważniejsi. Szukaliśmy nocą lokalu wyborczego, Zbyszek Bujak miał już ofertę Niespodzianki, ale badaliśmy inne opcje, jeżdżąc po Warszawie. Na Oczki, pod nieczyn-

nym Klubem Medyków, zapytałem: „Janek, a ty będziesz kandydował?”. „Nieeee. To czas Zbyszka Bujaka, Janasa, Frasyniuka”. Na to Bujak: „No, co ty, Janek, musisz być w parlamencie!”. Speszył się. „Nie, nie, są ważniejsi, może, jak będzie jakieś wolne miejsce do Senatu...”, ale Bujak mu przerwał: „Ty musisz być posłem, Janek, nie senatorem! Senator to poważna figura, dostojna, musi mieć posturę, ty jesteś za niski, musisz być posłem!”. I Jan Lityński, mój bohater walki o demokrację, został kandydatem w Wałbrzychu. Wygrał w cuglach.

O młodych rewolucjonistach Solidarności mówił z podziwem. O Bujaku, Janasie, Frasyniuku. Gdy go spytałem o Wałęsę, odpowiedział: „To jest niewątpliwie geniusz, ale trudno go opisać, bo historia nie zna nikogo o takich parametrach. Samorodny talent, przeblask instynktu, tak, popełniał błędy, ale bez niego nic jako Pol-

*Niewysoki, szczupły, uśmiechnięty.
Metr sześćdziesiąt optymizmu, zero
Supermana i jeszcze mniej męczennika*

ska byśmy nie osiągnęli”. „A co z Bolkiem?” – zapytałem. „Tysiące ludzi w tamtych czasach coś podpisało. Na pewno nie był agentem”. Gdy jechał do Wałbrzycha na spotkania przedwyborcze, miał wielki atut: był jednym z twórców gazetki powielaczowej „Robotnik”, skierowanej do zwykłych ludzi, tworzonej przez intelektualistów. Za komuny ta podziemna gazetka miała 50 tys. nakładu i robiła furorę. W Wałbrzychu ludzie wiedzieli, kim jest, i witali go oklaskami.

Tego pierwszego dnia gadaliśmy kilka godzin w jego mieszkaniu na Filtrowej. Wpadli Polacy z Litwy, był Zbyszek Bujak, a oni chcieli dowiedzieć się, jak się robi Solidarność. Byli w kłopotcie. Gdy wyszli, powiedział: „Mają dramat większy niż my. Litwini nie przepadają za Polakami, Polacy są tam podzieleni na prosowieckich komunistów i polskich nacjonalistów, nie dogadają się. Tylko patrzeć, jak jedni drugim zaczną zmieniać nazwiska”. Był tym szczerze zatroskany. Potem zmieniliśmy temat i gadaliśmy o muzyce. Zaskoczył mnie miłością do The Yardbirds i Soft Machine, rzeczy mocno wyrafinowanych, a bardzo mi bliskich. Poprosił mnie, bym mu przywiózł z USA boomboxa i kasety z ich muzyką. Zapytałem: „Kim byś był, gdybyś nie był opozycjonistą?”. „Matematykiem, kocham matematykę”. **N**